

LIPIEC

Nie mogłam wprost uwierzyć, że wreszcie zaczyna się mój pierwszy dzień pracy po długich i bezowocnych poszukiwaniach. Kiedy szłam na rozmowy wstępne okazywało się, że nikt nie potrzebuje sekretarki władającej tylko jednym językiem obcym, bez znajomości komputera. Nikt nie chciał ekspedientki, która nie potrafiła obsługiwać kasy fiskalnej, technika ekonomisty i bukieciarki, która kilka lat nie miała do czynienia z wyuczonym zawodem. Dodatkowym minusem był mój wiek – czterdziestolatki są dobre w serialu telewizyjnym, nie w życiu. Nie wspominam już o nogach, które na pewno nie sięgają do samej szyi.

Obiecano mi zatrudnienie w domu pomocy społecznej dla dzieci upośledzonych. Denerwowałam się bardzo, bo był to krok w nieznaną. Nigdy nie miałam do czynienia z chorymi psychicznie i bardzo się ich bałam. Okazało się, że zupełnie niepotrzebnie. Społeczeństwo jest niedoinformowane lub poinformowane błędnie na temat takich osób. Zbyt mało mówi się i pisze na ten temat w środkach masowego przekazu. Gdyby informacje były tak obszerne i tak częste jak na przykład na temat alkoholizmu czy narkomanii, wiele osób zmieniłoby swój stosunek do chorych. W chwili obecnej każdy z nas obejrzał lub przeczytał przynajmniej jeden horror, w którym człowiek zwany potocznie wariatem ucieka z ponurego, dobrze strzeżonego przez kraty i strażników zakładu — i morduje.

Równie popularna jest wersja szpitala, w którym chorzy poddawani są okrutnym eksperymentom, i kiedy nie mogą już znieść ogromu cierpień, jakimś cudem atakują personel szpitala i zabijają na najwymyślniejsze sposoby.

Zaoferowano mi pracę pokojowej, którą przyjąłam z dużą wdzięcznością. Zakres obowiązków jest bardzo podobny do obowiązków salowej w każdym innym szpitalu. Aby podpisać umowę, musiałam przepracować kilka próbnych godzin. Wsiadłam na właściwym przystanku i po przejściu kilku kroków zobaczyłam zwyczajny płot z metalowych sztachet i bramę z portiernią. Wejście, jak na teren szpitala, żadnych dwumetrowych murów najeżonych szkłem, żadnego drutu kolczastego i alarmów. Zapytałam portiera o przełożoną i z duszą na ramieniu czekałam na nią już na terenie. Widziałam przed sobą szeroką drogę prowadzącą przez ogród do dwupiętrowego budynku.

Podeksycytowana, trochę przestraszona i zarazem pełna nadziei — takie były moje uczucia po przekroczeniu bramy. Zobaczyłam spacerujących kilku mężczyzn

i kobietę. Wcale nie były to dzieci. Niektórzy przystawali obok mnie, grzecznie pozdrawiając lub pytając, po co przyszłam. Odetchnęłam z ulgą, że byli tacy zwyczajni. Sama nie wiem, czy spodziewałam się rozwianych włosów i błysku szaleństwa w oku. Zaraz jednak znów wstrzymałam oddech, kiedy podszedł do mnie jeden z mężczyzn i śmiejąc się zamruczał:

— Brrm, brrm...

Po chwili zrozumiałam, że chodzi mu o samochód i najuprzejmiej, jak potrafiłam, powiedziałam, że nie mam samochodu. Wtedy on podał mi długopis, który zaraz wyrwał mi z ręki i odszedł, gniewnie mamrocząc. Znów odzyskałam oddech, kiedy przyszła po mnie przełożona. Opowiedziałam jej o całym zajściu. Roześmiała się i wytłumaczyła:

— Mieszkańcy, którzy samodzielnie chodzą po terenie nazywani są rezydentami. Są oni najstarsi w domu i raczej niegroźni. Zwracamy się do nich po imieniu, a nie „proszę pani”, „proszę pana”.

Siostra przełożona zaprowadziła mnie do budynku, do grupy drugiej. Wewnątrz panowała czystość i cisza, którą tylko czasami przerywały jakieś odgłosy. Myślałam, że będzie gwar, jak na szkolnym korytarzu. Dopiero po wejściu przez zamknięte na klucz drzwi usłyszałam jakieś głosy. Grało też radio. Moją wprowadzającą, to znaczy, jakby nauczycielką zawodu została dziewczyna, która pracuje tu już kilkanaście lat. Jest zadziwiająco cierpliwa i miła. Nie denerwuje jej moja niewiedza. Ma na imię Ela.

Po kilku minutach przebywania w swojej grupie zaczęłam płakać. Nie dlatego, że praca okazała się bardzo ciężka i brudna, ale nad losem mieszkańców Domu. Tak bardzo jest mi ich żal. Roztkliwiłam się nad chłopcem, wyglądającym na jakieś siedem, może osiem lat, który siedział związany w kaftanie. Ma ładne, falujące blond włoski, szare oczy i pięknie wykrojone usta. Pytam opiekunek:

— Dlaczego taki miły chłopczyk siedzi związany?

— Zaraz pani pokażę, co on potrafi — odpowiada jedna z nich.

— Nie, dziękuję — wycofuję się znów lekko przerażona, ale ona zdążyła go odwiązać i odskoczyć w porę.

Chłopak, jak się później dowiedziałam już siedemnastoletni, wczepił się paznokciami w moją bluzkę i sycząc, obnażył zęby długie i ostre jak kły. Dużą trudność sprawiło opiekunom oderwanie go ode mnie i ponowne związanie. Zrozumiałam, że była to konieczność ze względów bezpieczeństwa. Bardzo się go przestraszyłam i jednocześnie było mi go żal. Opiekunki wyjaśniły mi, że kiedy nie był

związany, robił krzywdę innym dzieciom (tak nazywają tu wszystkich mieszkańców Domu) – drapał, kopał i gryzł jak zwierzątko. Ela opowiadała mi, że pensjonariusze są w różnym wieku. Najmłodszy ma czternaście, a najstarszy czterdzieści siedem lat, ale wszystkich nazywają tu dziećmi. Oni właśnie tak się zachowują i tak są traktowani.

Jeden z chłopców nie rusza się prawie wcale, nie mówi, nie widzi i nie słyszy. Inny porusza się bardzo niewiele, a przy zmianie pampersów lub przebieraniu czy kąpaniu sztywnieją mu wszystkie mięśnie i potrzebne są dwie opiekunki, aby udało się to zrobić.

Po kilku godzinach ścielenia łóżek, odkurzania, froterowania, mycia łazienek i ubikacji jestem bardzo zmęczona fizycznie. Bolał mnie ręce i nogi. Wózki z posiłkami zdają się ważyć tonę, ale nie to jest najgorsze. Wyczerpanie psychiczne jest chyba jeszcze większe. Powykręcane, zniekształcone kończyny, powykrzywiane buzie, zaciśnięte lub krzyczące bez związku usta, niewidzące lub szalone oczy. Większość z nich nie zdaje sobie sprawy ze swojego stanu, ale są tacy, którzy dużo wiedzą i rozumieją. Rozmawiałam dużo później z jedną z rezydentek, Janią, która przepięknie maluje.

— Janiu, może namalowałabyś coś dla mnie?

— Mam dużo pracy, a mało materiałów — odpowiedziała. — Widzisz pani, jak nie mogę wyjść i sobie kupić, a one tylko obiecują. Nie mogę i jeść przestać, a bym tak chciała, bo się w sukienki nie mieszczę i nie mam co ubrać.

— Nie martw się. Mnie też jest ciężko schudnąć, a materiały do twoich prac w końcu muszą się znaleźć — odpowiadam bez przekonania, bo wiem, jak ciężka jest sytuacja finansowa Domu.

Dalej rozmowa toczyła się warkotem. Jania opowiadała o swoich problemach z materiałami, ze swoją tuszą. Czułam się, jakbym rozmawiała z zupełnie normalną kobietą w domu, na ulicy, gdziekolwiek. Nigdy nie dowiedziałam się, na czym właściwie polegało jej upośledzenie.

Dzieci mają małą styczność ze światem zewnętrznym. Rodziców albo wcale nie ma, albo są chorzy, jak dzieci, i przebywają w innych zakładach. Są również tacy, którzy „zapominają” o dzieciach umieszczonych w domu opieki. Nie rozmawiają o nich, nie odwiedzają, zajmują się tylko zdrowym potomstwem lub sobą. Szczerze mówiąc, ktoś powinien zainteresować się tym problemem, aby ludzie bardzo chorzy

umyślowo nie płodzili następnych chorych. Ich życie bywa naprawdę ciężkie i smutne, chyba że nie zdają oni sobie z tego sprawy.

Normalni rodzice upośledzonych dzieci nie przyjeżdżają do nich, ułożyli sobie życie bez nich. Rzadko który ojciec czy matka ma tyle poczucia obowiązku i miłości, aby odwiedzać chore dziecko w zakładzie zamkniętym.

Jednak zdecydowałam się pracować tutaj i to właśnie bezpośrednio z nimi. Chciałabym zostać opiekunką, kiedy tylko pojawi się taka możliwość. Mam odpowiednie wykształcenie, niestety na razie nie ma etatów. Tymczasem będę sprzątać ich nieczystości, zmywać, szorować, dźwigać, byle tylko znaleźć chwilę, aby być bliżej nich. Może stwierdzenie, że ich pokochałam, byłoby przesadą, ale w moich odczuciach na pewno więcej jest właśnie miłości i smutku niż upokarzającej litości. Są tacy pracownicy i praktykanci, którzy się z nich śmieją, inni są obojętni, są i tacy, którzy boją się chorych cały czas – jak ja na początku. Są również tacy, którzy celowo i bezlitośnie wyrządzają im krzywdę. O tym, jak postanowiłam ich chronić i uczynić ich życie znośniejszym, napiszę w następnych rozdziałach.

SIERPIEŃ

Zaczynam się zastanawiać po tych trzech tygodniach pracy, czy pokojowa też jest człowiekiem. Wątpliwości nasunęły mi się w czasie pracy z niektórymi opiekunkami. Okazuje się, że jest człowiekiem dla tych, które mówią do niej „pokojowa”, a także dla dyrektorki, przełożonej, księgowych. Jest natomiast niczym dla osób, które ją nazywają „salową”. Nie niosą one same wiadra z moczem czy kałem, i choćby miały się poślizgnąć, nie zetrą nawet mopem podłogi w ubikacji, nie zmyją nawet po sobie talerzyka po śniadaniu. Od tego są salowe. Inne opiekunki nie wołają nas do każdej z tych czynności, odrywając od innych zajęć, które akurat wykonujemy i nazywają nas delikatnie „pokojowymi”.

Doszłam do wniosku, że jednak jestem człowiekiem, a panie, które tak nie uważają, powinny zastanowić się nad swoim człowieczeństwem. To zagadnienie człowieczeństwa jest problemem, z którym stale mam tu do czynienia. Kiedy pracuję, nie mam czasu ani możliwości zastanawiać się nad tym wszystkim. Staram się robić notatki na jakiegokolwiek kartce, których trochę stale noszę w kieszeni i dopiero będąc już w domu, przeżywam wszystko ponownie i bardzo intensywnie zastanawiam się z kim porozmawiać. Zbyt mało jeszcze wiem i mało rozumiem, aby wyjść z tym problemem na zewnątrz, a nie mam odwagi dyskutować na te tematy w pracy, nie jestem dokładnie zorientowana w tych „ludzkich” i „niehumanicznych” sprawach. Nie chciałabym, aby mi podziękowano, gdyż zbyt dużo pytam i interesuję się sprawami, które nie należą do zakresu moich obowiązków.

Nie mam swojej grupy, w której byłabym na stałe. Pracuję w dwójce, trójce, czwórce, piątce i czasami w szóstce. Nigdy nie pracowałam u rezydentów, ale jedna z opiekunek, pani Danusia, jest aż tak miła, że zaprowadziła mnie tam, aby pokazać mi, jak mieszkają. Rezydentki zajmują oddzielny domek, mają pokoiki dwu- i trzyosobowe. Prawie wszystkie prace wykonują same. Można się z nimi pośmiać i pogadać jak ze zwykłymi dziewczętami, mimo że czasem trudno zrozumieć ich język. Opiekunki wydają się być z nimi na stopie koleżeńskiej. Można wyczuć atmosferę wzajemnego zrozumienia, poszanowania i spokoju. I tam też zdarzają się kłótnie między dziewczętami, dochodzi również do rękoczynów, ale rozsądek i spokój opiekunek pozwalają szybko te sprawy załagodzić.

Krótko opowiedziałam o rezydentach i dwójce, bo zbyt rzadko tam bywam, aby powiedzieć coś więcej. To, co wiem o opiekunkach, również można streścić jednym zdaniem: dzielą nas na pokojowe i salowe. Różnią się też stosunkiem do dzieci. Jedna z nich, pani Ania, przemawia czule nawet do tych nierozumiejących i niesłyszących, przewija te, które się moczą bardzo często, żeby były czyste i suche. Dba o nich. Inne opiekunki, na przykład pani Ewa, używają ordynarnego języka i odsuwają dzieci z drogi kopnięciem. Do tłumaczenia im czegokolwiek używają rąk, nóg i klamek (klamki nosimy ze sobą prawie we wszystkich grupach). Kiedy dzieciakom dzieje się coś złego, gdy nie mogą sobie same z czymś poradzić, to takie panie mają świetną zabawę. Właśnie w pierwszym dniu mojej pracy zetknęłam się z czymś takim. Chłopiec, który nie umiał mówić, nie widział i nie słyszał, był nazywany Ciapą. Przysiadł na dywanie albo na czworakach kręcił się wokół własnej osi i przesuwiał przed sobą klocek. Kiedy posunął za daleko, gubił zabawkę, złościł się, wydawał dziwne dźwięki, uderzał ręką w dywan, a z niewidzących oczu kapwały łzy. Serce pękało na jego widok. Człowiek natychmiast chciał podbiec i podsunąć mu ten klocek. Pani Ani nie było, a pani Ewa śmiała się głośno, zabierała klocek i szturchała Ciapę nogą. Pokojowa, która jest w pracy dopiero dzień czy dwa, nie może zrobić niczego, jest bezsilna.

W szóstce miałam tylko dwa dyżury, przebywają tam najmłodszy mieszkańcy. Zdążyłam się zorientować, że dzieci są żywe, psotne, lubią się bawić i niewiele z nich jest ciężko upośledzonych. Opiekunki, na przykład pani Jola czy Irenka, bardzo dobrze się z nimi dogadują i nie stosują przemocy. Oczywiście, są też takie, jak pani Zosia, których koleżanki nie lubią, a dzieci się boją, ale na szczęście one tam są w mniejszości. Od pani Zosi nasłuchiwałam się mnóstwo złości na temat Krystiana. Był chłopcem autystycznym, rzadko zdarzały mu się ataki złości, był typową przylepką. Bardzo mi się podobało, kiedy siadał mi na kolanach i przytulał głowę do mojego policzka. Wiedziałam już, jak niewiele pieszczot otrzymują te dzieciaki, kołysałam go więc na kolanach i opowiadałam bajki, mimo że wiedziałam, że słucha tylko intonacji głosu. Chociaż według mnie naukowcy, którzy badają tę chorobę, też nie znają dokładnie pracy chorego mózgu, i istnieje jakiś ułamek możliwości, że on te bajki jednak słyszał. Pani Zosia dokuczała mi i mówiła, że jest to dorastający chłopak – miał czternaście lat – i wcale nie w głowie mu dziecinne przytulanie, a wręcz przeciwnie. Kto wie, czy ona nie była bardziej chora od tego

dziecka, jeżeli zamiast widzieć w tym potrzebę uczucia, którą odczuwa każdy człowiek, szukała jakichś seksualnych podtekstów.

Prawie nic nie mogę powiedzieć o pracy w pawilonie, gdyż byłam tam tylko dwa lub trzy razy przez kilka chwil. Wiem, że przebywają tam dziewczęta, a większość z nich bardzo upośledzonych i rzeczywiście wymagających nieustannej pracy i nadzoru. O opiekunkach nie wiem nic. Te spotkane w palarni wydają się miłe. Widziałam kiedyś przez okno jedną z dziewcząt, która bawiła się ze słońcem i cieniem: stała w cieniu tuż przed słoneczną plamą i wysuwała nogę tak ostrożnie, jakby chciała wejść do wody. Nie stawiała jej, tylko szybko cofała, aby po chwili powtórzyć całą operację. Byłam wtedy sama w pomieszczeniu i mogłam jej się przyglądać przez kilkanaście minut, zanim zabawa się jej znudziła i odeszła. Słyszałam dziewczyny, które śpiewały i to naprawdę ładnie. Wydawało mi się, że w pawilonie zawsze panuje porządek, nie słyszałam stamtąd wycia ani innych hałasów. Dopiero po jakimś czasie dowiedziałam się od pań, które miały tam dyżury, że dziewczyny biją się, onanizują, brudzą, wrzeszczą, rzucają podpaskami, robiąc sobie często krzywdę, zanim ktoś zdąży zareagować.

Wydaje mi się, że z pracą radzę sobie nieźle, a część koleżanek polubiła mnie i nie skąpi dobrych rad, jak sobie te pracę usprawnić. Na przykład: Asia, Lila czy Halinka są nastawione bardzo życzliwie. Asia nawet w przyszłości okaże się moją pomocą i ostoją, kiedy już rozpocznę prawdziwą walkę z opiekunkami, stosującymi przemoc wobec dzieci, ale o tym napiszę we właściwym czasie.

Są również koleżanki zazdrośnie strzegące swoich grup i które nie lubią nowych osób. Na przykład: Iwa lub Rena potrafią przekreślać cudze słowa, dodać coś od siebie i naprawdę utrudnić pracę. Zdarzyło się raz tak, że miałam wpisaną w grafik piątkę, którą bardzo lubiłam, a Iwa czwórkę, za którą nikt nie przepadał. Zamiast o 7:45 przyjechała już o 7:15, aby być przede mną i z pomocą swoich znajomych opiekunek wyrzucić mnie do grupy, którą jej przeznaczono. Piątkę uważała za swoją. Poszłam z tym do oddziałowej, która układała nasz grafik, ale była również zwolenniczką starych pracownic.

— Pani Zosiu, Iwa przyjechała wcześniej — powiedziałam — i rozpoczęła pracę w mojej grupie, a mnie wysłała do swojej.

— Załatwcie to między sobą — usłyszałam od oddziałowej.

— Boję się iść na czwórkę, a Iwa da sobie radę i ma ją w grafiku — nie dawałam za wygraną.

— Na jednym piętrze możecie ustalić to sobie same — stwierdziła oddziałowa po czym schowała nos w papiery.

Posłuchanie skończone.

Musiałam więc pójść na czwórkę, której za bardzo nie lubiłam i rzeczywiście się bałam. Jednakże dyżury w tej grupie zdarzały mi się dość często — byłam nowa. Praca tam była wyjątkowo ciężka zarówno pod względem fizycznym, jak i psychicznym. Nigdy nie było porządku takiego jak na przykład na dwójce. W salach było brudno, łóżka niepościelone, kołdry powyciągane z poszew, a łazienki i ubikacje stanowiły obraz nędzy i rozpacz. Kiedy udawało mi się już jakoś zapanować nad tym bałaganem, zawsze wchodził któryś z chłopców i zaczynałam od nowa syzyfową pracę. Zawsze się denerwowałam przed takim dyżurem. Dzieci są tam wyjątkowe, ale nie jest to określenie pozytywne. Bałam się Kleksa, który przez większość czasu był przesympatycznym chłopakiem, ale kiedy choroba psychiczna (był chory psychicznie, a nie upośledzony i powinien przebywać w szpitalu psychiatrycznym pod odpowiednim nadzorem) dawała o sobie znać, zmieniał się w bestię. Rzucał sprzętami i opiekunkami. Były nawet przypadki, że pobił opiekunki tak bardzo, że skończyło się to dla nich pobytem w szpitalu i kilkumiesięcznym zwolnieniem. Na szczęście nigdy nie doszło do najgorszego, chociaż inny chłopiec z czwórki – Jacek – zabił kolegę, rzucając nim w kaloryfer. Kleks miał „dziewczynę” – Janka – który był bardzo niesympatyczny i złośliwy. Uderzał mocno i zniechęcał. Napisałam, że był „dziewczyzną” Kleksa, bo chłopcy na czwórce najczęściej nie onanizowali się, ale żyli ze sobą, choć zdarzało im się robić sobie nawzajem dużą krzywdę. Kleks miał swój zamykany pokój, do którego potrafił wciągnąć chłopaka i mocno go poturbować, zanim komuś udało się do niego dostać i zareagować. Był to jeden z nielicznych tak drastycznych przypadków zaspokojenia popędu seksualnego w Domu, o jakim tu słyszałam. Nie chciałam pracować na czwórce, bo bałam się, że chłopcy przestaną mu wystarczać. Obawiałam się również Marka. Ten chłopak głaskał jedną ręką, a bił drugą, szarpał za włosy i gryzł do krwi. Było to tym bardziej niebezpieczne, że był nosicielem żółtaczk. Wychodziłam z siniakami, pogryziona, z wydartymi pasmami włosów. Marek bał się tylko dwóch opiekunów: swojego imiennika Marka i drugiego, Jacka. Nie docierała do niego ani dobroć, ani złość. Uważam, że na czwórce powinni pracować wyłącznie mężczyźni, i to na tyle silni, aby potrafili unieruchomić chłopców w czasie ataku, nie czyniąc im krzywdy. Widziałam, jak udawało się to wielokrotnie Markowi, opiekunowi. Potrafił postępować z chłopcami.

